

Juraszek Truchan
Hałas Sawicki
Sokół Kilian



Oficyna wydawnicza
RW2010

SZABLA I WĄSEM

SZABLĄ I WĄSEM

antologia opowiadań sarmackich

pod redakcją Dawida Juraszka

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2014

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Ewa Lasota, Robert Plesowicz

Copyright © Oficyna wydawnicza RW2010

Okładka Copyright © Teya 2014

Pomysł okładki: Dawid Juraszek

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2014

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-075-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Patronat medialny:



Spis treści

PRZEDMOWA.....	5
Andrzej Sawicki: MACHINE DE POLOGNE.....	6
Monika Sokół: ISKRA BOŻA.....	51
Agnieszka Hałas: SZATAŃSKI PLAN.....	87
Stanisław Truchan: OBSYDIAN.....	104
Tomasz Kilian: DZIĘCIELINA.....	154
Dawid Juraszek: PARA BELLUM.....	186
GLOSSARIUSZ.....	194
Do <i>Machine de Pologne</i> :.....	194
Do <i>Iskry Bożej</i> :.....	196
Do <i>Szatańskiego planu</i> :.....	198
Do <i>Obsydianu</i> :.....	200
Do <i>Dzięcieliny</i> :.....	203
Do <i>Para bellum</i> :.....	205
DYKCJONARZYK.....	206

PRZEDMOWA

Łaskawa/y Czytelniczko/niku!

Jeżeli szukasz szablą i wąsem, kontuszem i dworkiem, ogniem i mieczem pisanych opowieści, książka ta Cię nie zawiedzie.

Jeżeli jednak, moja Pani Czytelniczko/mój Panie Czytelniku, do wszystkiego, co sarmackie stosunek masz niechętny i podejrzliwy, niejedno przeżyjesz tutaj zaskoczenie.

Nie o to bowiem Autorkom i Autorom oraz niżej podpisanemu idzie, by utartym szlakiem i wygodnym tempem podążać, lecz by w nowe ramy stary pejzaż oprawić (albo w stare nowy), by inny wiersz do znanej melodii ułożyć (lub do znanego inną)...

Trzecie *exemplum* niepotrzebne – na pewno wiesz już, Czytelniczko/Czytelniku tej krótkiej przedmowy, czego na kolejnych stronach spodziewać się możesz.

D.J.

Chiny, Kanton, marzec 2012

Andrzej Sawicki: MACHINE DE POLOGNE

Promienie majowego słońca przebijały się z trudem przez korony drzew. Zanim pa-
dły na piach, muskały skórzane kaftany i kapelusze dragonów, ślizgały się po żela-
znych lufach bandoletów i muszkietów, skrzyły się w sierści spoconych wierzchow-
ców, migotały na husarskich zbrojach i rękojeściach szabel.

Śląskim lasem ciągnęły w tumanach pyłu kolumny jeźdźców. Dwóm chorą-
gwiom, husarskiej i dragońskiej, towarzyszyła lekka jazda komputerowego wojska. Na
końcu kolebały się ciężkie wozy zaprzężone w czwórki. Kawaleria musiała zwalniać,
a czasem nawet przystawać, by pozwolić taborom nadążyć. Najbardziej drażniło to
Feliksa Potockiego, porucznika husarii, wysokiego dwudziestoparolatka o płowej
czuprynie.

– Bodaj was! – warknął wreszcie, odwracając się w siodle. – W tym tempie i za
tydzień nie dojedziemy... – Pogroził pięścią woźnicy i ogólnie wszystkim komputo-
wym z oddziałów Tytusa Burattiniego, do którego należały wozy.

– Daj spokój, bo jeszcze Italianiec zobaczy i się obrazi – mruknął potężny mło-
dzieniec, pułkownik i dowódca wyprawy, Jan Sobieski.

– A tam obrazi – prychnął najstarszy wiekiem z trójki oficerów, rotmistrz drago-
nów, Mikołaj Grudziński. – Pewnie pogna na skargę do tej francuskiej harpii.

– Hamuj się, rotmistrzu. – Jan groźnie zmarszczył brwi. – Nie przystoi mówić
w ten sposób o królowej, nawet wśród zaufanych przyjaciół i kiedy wokół nie ma cie-
kawskich uszu.

Grudziński nie sprawiał jednak wrażenia skruszzonego. Uśmiechnął się tylko
i mrugnął porozumiewawczo do Feliksa. Jana nie zdziwiło takie zachowanie; sam też
nie przepadał za Jej Wysokością, jak i zresztą żaden szanujący się szlachcic. Ich trój-
ka ponadto miała dodatkowe powody do niechęci. W samym środku wojny, kiedy po-
konana Rzeczpospolita podnosiła się z kolan po bolesnej klęsce i oddziały wierne Ja-

nowi Kazimierzowi wreszcie zaczynały bić Szwedów, zostali zwyczajnie odwołani z pola i wysłani gdzieś na koniec świata. W takiej chwili! Po pięknym zwycięstwie pod Warką i udanym oblężeniu Torunia, kiedy Polacy gromadzili się, by odbić udręczoną Warszawę, trzem młodym żołnierzom zwyczajnie zamykało się drogę do chwały, do możliwości udowodnienia swego męstwa i bicia się za wolność ojczyzny. I po co? By odeskortować ulubionego magika królowej do miejsca jej zesłania! To było niczym policzek. Nic dziwnego, że się wściekali.

Jan nie próbował zatem strofować rotmistrza, ba, walczył ze sobą, by nie dodać czegoś jeszcze bardziej kąśliwego o francuskiej lisicy. Powstrzymał się jednak; mimo wszystko zamierzał wykonać królewski rozkaz.

– Ponoć widziałeś ją z bliska, Janie – zagaił Grudziński, najwyraźniej nie chcąc dać za wygraną. – Naprawdę jest tak wyuzdana? Gadają, że każe wszystkim pannom z fraucymeru chodzić z niemal zupełnie odsłoniętym biustem! A cyce sama ma wielkie, o, takie... I też lata prawie goła. A chutliwa jest ponad miarę i, na zmiłowanie Boskie, nie gardzi w łożu towarzystwem kobiet, niczym Safona.

– O kim mówisz, do stu diabłów? – Sobieski groźnie zmarszczył brwi.

Feliks Potocki zaśmiał się głośno, w jego błękitnych oczach błysnęła wesołość. Jan spiorunował go wzrokiem, ale po chwili machnął ręką. A co tam! Lepiej żeby się śmiali, niż siedzieli w siodłach naburmuszeni, zgrzytając zębami. Nie miał dziś ochoty odgrywać groźnego dowódcy, ślepo wykonującego rozkazy.

– O tych odsłoniętych biustach też słyszałem – dodał Potocki. – I jeszcze, że ma zdanie na każdy temat i nie waha się mądrzyć w różnych oficjalnych sytuacjach, nie bacząc na miejsce należne białogłowie. Szepcze królowi na ucho przez całe noce i tak potrafi go omamić, że jaśniepan robi wszystko, co mu powie. I swoje panny uczy ponoć tego samego. Biada ich przyszłym mężom! Zamiast posłusznej niewiasty, wiernej i opiekującej się domem, dostaną się im sfrancuziałe harpie, przemądrzałe, wyuzdane i nazbyt pyskate.

– Prawda to, Janie? – Mikołaj wyszczerzył się do Sobieskiego. – Tyś bywały w świecie i na królewskich dworach. Poznałeś królową i jej fraucymer?

– Poznałem. – Młodzieniec kiwnął głową. – W czasie sejmu warszawskiego, wiosną ubiegłego roku. Historie o wyuzdaniu królowej to tylko bajdurzenia kaboty-nów, którzy chcą przypodobać się jej wrogom. Wszyscy w otoczeniu Ludwiki noszą się, co prawda, z francuska, ale tak samo ubiera się i zachowuje szlachta w całym chrześcijańskim świecie. Nie znaczy to – zastrzegł się szybko – że pochwalam te cu-dzoziemskie stroje i obyczaje. Pasują do polskiego dworu jak pięść do nosa. Są tak samo chybione, jak inne próby królowej, by zrobić z Rzeczypospolitej drugą Francję.

– Nigdy! – uniósł się Grudziński. – Nie będziemy zakładać peruk i żabotów, wylewać na siebie wonności i pudrować nosów!

– To wszystko furda! – Potocki machnął ręką. – Najważniejsze to nie dopuścić, by ta jędza osadziła na polskim tronie jakieś francuskie książątko. Wprowadzi nam swoje obce prawa i co się wtedy stanie z naszą złotą wolnością?

Sobieski popatrzył na kompanów z ukosa. Tak po prawdzie, to Grudzińskiemu nie zaszkodziłyby francuskie perfumy, bo śmierdział jak cap. Feliksowi z kolei przy-dałoby się ukrócić nieco tę złotą wolność, bo choć jeszcze młody, zdążył już zerwać niejedną sejmik.

– Bij Francuzów, bij, wzięwszy dobry kij – zaintonował rotmistrz. – Wal Francu-zów, wal, wbijaj ich na pal!

– Siecz Francuzów, siecz, zaostrzywszy miecz – przyłączył się porucznik. – Tnij Francuzów, tnij, to ich będzie mniej!

Jan pokręcił głową, ale uśmiechnął się pod wąsem. Nie zdążył jednak włączyć się do przyspiewki, bo niespodziewanie rozległ przeraźliwy ryk rogu. To wysłany podjazd alarmował o zagrożeniu. Prowadząca chorągiew dragonów wyjechała już z lasu na łąkę. Husaria i komputowi tkwili jeszcze na piaszczystej drodze, między

drzewami. Trzej oficerowie wymienili szybkie spojrzenia, a potem jak jeden mąż dali koniom ostrogę.

Gdy wypadli z lasu na otwarte pole, ujrzeli, jak kolumna dragonów zjeżdża z drogi okalającej niewielkie wzniesienie. Najpewniej postanowili zawrócić i ukryć się w gęstwinie.

Nie zdążyli. Zagrzmiała salwa, zakwiczały ranione konie, dragoni zakleli, próbując utrzymać się w siodłach. W powietrzu rozniósł się zapach palonego prochu, tak często w ostatnich latach zatruwający polskie powietrze.

– Tam, na wzgórzu! – Mikołaj Grudziński wskazał ręką. – Jasna cholera, to chyba czarni jeźdźcy!

Niemieccy rajtarzy na służbie Karola Gustawa, którzy swą nazwę wywodzili od czernionych napierśników, galopowali właśnie po wzgórzu, równolegle do kolumny dragonów. Wykonywali manewr zawracania całą linią, by zwrócić się drugim bokiem do przeciwnika. Wypalili salwą z pistoletów, a jako że każdy z nich miał po dwa pufery w olstrach, ustawiali się, by powtórzyć ten manewr, mierząc drugą ręką.

– Robią karakol! – zawołał Jan. – Husaria, za mną!

– Mam spieszyć dragonów? – dopytał jeszcze Grudziński.

– Nie, mogą się przydać konno – rzucił Sobieski przez ramię, wysuwając się przed wojsko.

Husaria wyjechała stępa z lasu. Jan dobył szabli i wskazał kierunek ataku.

– Bij, zabij!

Chciał uderzyć w bok kirasjerów, zanim ci zdążą powtórzyć salwę. Potocki dołączył do niego, wrzeszcząc ponagląco na żołnierzy. Grudziński tymczasem wpadł między dragonów, by zaprowadzić pośród nich porządek. Kirasjerzy wypalili tym razem nierówną salwą, i to zanim jeszcze część z nich zdążyła ustawić się do strzału. Chmura dymu na chwilę zasnuła stok niewielkiego wzniesienia. Znow zakwiczały boleśnie konie dragonów, kilku ranionych jeźdźców spadło w wysoką trawę.

Chorągiew husarska błyskawicznie rozwinęła się do szarży i już po chwili gnała pod górę z łomotem, dzwonieniem rynsztunku oraz narastającym szumem skrzydeł. Wiatr załopotał proporcami na uniesionych kopiach, ziemia zadudniła pod kopytami masywnych wierzchowców. Pędzący przodem dwaj młodzi oficerowie zrównali się z linią kawalerzystów i po chwili wtopili się między nich.

Kirasjerzy tymczasem zrezygnowali z dokończenia manewru. Nie próbowali też ustawić się do szarży z wyciągniętymi rapierami, jak mieli w zwyczaju. Na widok szarży ciężkiej jazdy, zawrócili konie i bezładną kupą rzucili się do ucieczki.

Dragoni zapanowali nad zamieszaniem w szeregach, zanim jeszcze husaria osiągnęła szczyt wzniesienia, i ruszyli za nią. Grudziński zawrzał gniewem, spostrzegłszy, że komputowi Burattiniego nie dołączyli do walczących, tylko dalej jadą drogą, eskortując wozy. Sam mistrz, na smukłym gniadoszu, pojawił się na przedzie kolumny i popędzał podwładnych. Czyżby brał nogi za pas, nie interesując się przebiegiem starcia ze Szwedami?

Tymczasem husarze, grmiąc niczym nadchodząca burza i trzęsienie ziemi w jednym, wgalopowali na rozległe, płaskie wzniesienie. Kirasjerzy jechali bez widocznego pośpiechu w stronę zagajnika, oglądając się tylko ni to nerwowo, ni to prowokacyjnie. Kilku z nich nawet zawróciło i wypaliło w stronę husarii z bandoletów.

Sobieski zatrzymał chorągiew ruchem ręki. Ciężka jazda, niczym wielka, żelazna machina, zatrzymała się z brzękiem i łomotem, z trudem wyhamowując pęd.

– Co wyprawiasz, Janie? – oburzył się Potocki. – Mamy ich na widelcu! Atakujmy!

– Nie żartuj, przecież to aż nazbyt oczywista pułapka. – Jan pogładził wąsy. – Liczą, że mają do czynienia z gorącym, podgolonym łbem, co to nie ma pojęcia o taktyce, za to uwielbia szarżować po polsku.

Spojrzał po twarzach otaczających go towarzyszy husarskich, rwących się do ataku tak samo jak Potocki. Wszyscy udawali, że nie usłyszeli uwagi. Tylko Feliks

zaperzył się, biorąc wszystko do siebie. Nabrał powietrza, by rzucić Janowi w twarz soczystą ripostę.

Nie zdążył. Rozległ się trzask łamanych drzew, metaliczny chrzęst, i z zagajnika wytoczyły się cztery czarne potwory. Wnet kolejne wyjechały z zamaskowanych sprytnie dołów w zboczu wzniesienia. Pokryte czarnymi pancerzami, które spojono grubymi jak pięść nitami, na okutych, szerokich na trzy stopy kołach, wyglądały niczym gigantyczne żuki. Wyższe niż jeździec na koniu, brnęły przez trawę, terkocząc i trzeszcząc. Ponad metaliczny jazgot wzbijał się hałas napędu – uwięzionych w szklanych kulach dusz nieszczęśników, szemrzących, zawodzących i mamroczących upiornych chórem.

– A nie mówiłem? – mruknął pod nosem Sobieski.

– Żelazne psy pułkownika Törnskjölda! – Potocki sięgnął po pistolet do olstra. – Matko Przenajświętsza, skąd oni się tu wzięli?

– Mniejsza z tym. – Sobieski machnął ręką, dając sygnał do odwrotu. – Pora zniknąć, nim zaczną strzelać.

Jak na zawołanie, ze zgrzytem łańcuchów podniosły się klapy w korpusach pojazdów, odsłaniając lufy obłęzniczych armat. Sześćdziesięcioczerofuntowe kartauny, z pewnością nabite kartaczami, wymierzyły w husarską chorągiew. Feliks pobladł, wyobraziwszy sobie, co by się stało, gdyby Sobieski poprowadził szarżę... Zostawił pistolet w olstrze, przeżegnał się szybko i zawróciwszy konia, pognął z cofającą się husarią.

Kiedy wypadli na drogę razem z zawróconymi również dragonami, dojrzeli w oddali tumany kurzu. To komputowi pierzchali w popłochu. Wozy mistrza Burattiniego kolebały się hałaśliwie na wszystkie strony, pędząc po wybojach z maksymalną prędkością. Woźnice wściekle okładali batami końskie zady i boki, a sam mistrz krzyczał i wymachiwał białą peruką, którą w nerwach zerwał z głowy. Opanował się nieco dopiero na widok nadjeżdżającego Jana.

– Te wozy muszą dotrzeć do zamku w Głogówku! – oznajmił niemal błagalnie. –
Ratuj, panie pułkowniku!

Sobieski odwrócił się w siodle. Żelazne psy niemrawo pełzły po wzniesieniu. Wyraźnie zaniechały pościgu; opuściły klapy, ukrywając armaty. Na szczęście piekielne pojazdy nie były w stanie rozwinąć prędkości zagrażającej szybko oddalającym się kawalerzystom. Kirasjerzy też nie palili się, by atakować husarię. Udało się uniknąć rozlewu krwi. Jan odetchnął i uśmiechnął się do Włocha.

– Wszystko będzie dobrze, mistrzu – powiedział. – Jesteś pod opieką nie byle kogo. Jeszcze dziś bezpiecznie dotrzemy do celu.

Bezchmurne niebo błyszczało milionami gwiazd. Dziedziniec górnego zamku iluminowało odświętne kilkadziesiąt pochodni w stojakach i liczne lampy olejowe, wiszące w podcieniach. Ciepła noc pozwalała damom dworu zdjąć wierzchnie okrycia; żółte, rozedrgane światło gładziło ich nagie ramiona, muskało upudrowane lica i mieniło się w starannie ufryzowanych, drobnych loczkach – francuskiej koafiturze chętnie przyjętej przez polskie szlachcianki. Zamiast wianków i staropolskich czepców głowy dam zdobiły lśniące ogniście perły, klejnoty uwielbiane na francuskim dworze.

Królowa siedziała nieruchomo na połączonym fotelu i zamyślona patrzyła w ogień. Jako młoda księżniczka słynęła w całej Europie z niezwykłej urody; ćwierć wieku później po dziewczęcym uroku pozostały jedynie ślady – wielkie, jasne oczy i szlachetnie wysokie czoło. Przyglądającemu się jej teraz Feliksowi Potockiemu kojarzyła się nie z dawną pięknnością, a ze starą, grubą ropuchą. Nie mógł jej jednak odmówić niewymuszonego dostojeństwa, autorytetu i istic królewskiej charyzmy, wyczuwalnych nawet wtedy, kiedy się nie odzywała, a jedynie w skupieniu słuchała poezji.

Swoje dzieła recytowała właśnie znana poetessa łacińska Zofia Bernhardi. Uczona dama toczyła literacki pojedynek z dworzaninem-poetą Janem Morsztynem. Na zmianę czytali swoje wiersze, a zgromadzone na dziedzińcu damy oceniały i nagradzały je oklaskami. Które z twórców otrzyma ich więcej, zostanie przez Jej Wysokość udekorowane wieńcem z dębowych liści, udającym laurowy. Skromna zabawa miała zastąpić wystawne teatra, balet i marionety, którymi zwykle bawił się dwór Ludwiki. Po ucieczce z Warszawy nie urządzano hucznych i nazbyt wystawnych zabaw – Głogówek nie dysponował nawet orkiestrą... Zresztą królowa nie życzyła sobie żadnych zbytków, pozostając na zesłaniu i kiedy Polska tak dotkliwie cierpiała.

Trzej oficerowie i mistrz Burattini stali pod ścianą północnego skrzydła, cierpliwie czekając na zakończenie poetyckiego pojedynku. Może wtedy królowa zaszczyci ich swoją uwagą? Póki co, mieli rzadką możliwość przyjrzenia się fraucymerowi, który w całej okazałości wyległ na dziedziniec, by skorzystać z tak pożądaney w wojennym czasie rozrywki. Przy samej Ludwice z jednej strony siedzieli właściciele zamku i przyległości, hrabiostwo Oppersdorffowie, a z drugiej – jej sekretarz i podskarbi Pierre Des Noyers. Dalej, na krzesłach z miękkimi poduszkami, spoczywała świta honorowa, małżonki i córki senatorskie, zarówno polskie, jak i francuskie. Para poetów stała naprzeciw siebie, na środku dziedzińca, otoczonego pierścieniem przez wymieszany dwór górny i dolny, czyli panny z bardziej i mniej znamienitych rodów. Piękne, rozchichotane dziewczęta, poważne damy, spowiednik królowej i jej jałmużniczka, nawet nadworny medyk, spoglądali ciekawie na przybyszy. Nikt nie śmiał jednak zakłócić recytacji, szczególnie że Jej Wysokość, pod wpływem chwytającej za serce liryki, popadła w głęboką zadumę.

Srogie spojrzenia żołnierzy nieustannie krzyżowały się z powłóczytymi, rzucającymi spod długich rzęs spojrzeniami pięknych Francuzek. Powietrze aż iskrzyło, a ognisty efekt potęgowało jeszcze skwierczenie pochodni.

Najpiękniejsza dwórka, niespełna piętnastoletnia Maria d'Arquien, stała w towarzystwie dwóch niewiele starszych panien, które dołączyły do fraucymeru kilka miesięcy wcześniej. Obie traktowały Marysienkę, jak Polacy zwali czarnooką piękność, niczym przewodniczkę w tym dzikim kraju i znawczynię lokalnych obyczajów. Dziewczyna służyła u boku królowej od dziecka i zdążyła się nawet świetnie nauczyć miejscowego, koszmarnie trudnego i niemożliwie szeleszczącego języka. Gabriela Morin i Adrianna de la Roche trzymały przyjaciółkę z obu stron pod ramiona i szepotały między sobą, starając się zachowywać dyskretnie.

– Ci trzej to prawdziwi zbóje. – Gabriela pochyliła się do przyjaciółek. – Dzicy i nieokrzesani, wystarczy spojrzeć w te zacięte twarze, w te błyszczące zwierzęcą agresją oczy!

– Wszyscy oni są tacy, Mario? – Adrianna śmiało patrzyła na oficerów. – Co nie odwiedzą nas polscy szlachcice, to jeden w drugiego gwałtownik i nieokrzesaniec. Spójrzcie tylko, dziewczęta, oni naprawdę są niczym dzikie bestie. Nawet stąd czuć od nich końskim potem, palonym prochem i gorzałką.

– Tak, moje drogie. Polscy panowie są zupełnie inni niż francuska szlachta, łatwo ulegają zarówno gniewowi, jak i radości. Do tego potrafią być gwałtowni niczym arabskie ogiery. – Marysienka spłonęła rumieńcem.

Wszystkie trzy zadrżały i wbiły ciekawe spojrzenia w Polaków, zupełnie nie słysząc pięknych wierszy pana Morsztyna. Oficerowie pochylili się ku sobie, mrużąc półgębkiem.

– Co za tłum upudrowanych ladacznic, w życiu czegoś takiego nie widziałem – westchnął oszołomiony Mikołaj Grudziński. – Od tych perfum zaraz mnie łeb rozboli.

– One są prawie gołe – dodał Potocki. – Widzicie, jak ognie błyszczą w ich ślepiach? Czarownice, na psa urok. Wszystkie to przeklęte wiedźmy. Janku, rozmawiałeś z którąś?

– Z kilkoma. Jedną z nich, tamta babuleńka obok królowej, to moja ciotka. Wojewodzina podlaska Zofia Wodyńska z Sobieskich. – Młodzieniec uklonił się krewniczce.

– Nie chodzi mi o starowinki, ale o te francuskie diabllice – syknął Feliks.

– O tak, z niejedną. Widzicie tamte pod ścianą? Każda to *magnifica ac generosa virgo*. Wykształcone i odcytane, aż miło porozmawiać. Najbystrzejszą jest tamta czarna. Och, pamiętam każde słowo z naszej rozmowy. Nie mogę zapomnieć tego dziewczęcia, jej czarne oczy i wąska kibić śnią mi się po nocach...

– A nie mówiłem! – ucieszył się Potocki. – To więdźmy. Jedną z nich rzuciła na ciebie urok, Janie.

– Boże uchwaj, by któraś chciała ze mną porozmawiać. – Grudziński przeżegnał się ukradkiem.

Tymczasem panny, widząc zainteresowanie oficerów, przesunęły się bliżej lampionów, by polscy barbarzyńcy mogli lepiej je widzieć. Niech dzikusy sobie obejrzą, jak wyglądają cywilizowane damy.

– I wtedy on podszedł do ciebie? – ze zgrozą spytała Gabriela.

– O tak, to było na wiosennym balu, w czasie sejmu w Warszawie – z przejęciem odparła Maria d'Arquien.

– Który to? – Adrianna z przejęcia ścisnęła dłoń przyjaciółki.

– Ten wielki, z czarnymi wąsiskami. Och, jaki on przystojny i męski, a jak biegle włada francuskim! – Zadrzała. – Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, mroźnej ziemi i muzyce, o polowaniach i nowym balecie wystawionym przez królewskie dwórki, a nawet o polityce! Rozumiecie, spytał mnie o zwalczające się frakcje we fraucymerze i która z nich popiera plany osadzenia Francuza na polskim tronie. Miałam wrażenie, że mogę powierzyć mu wszystkie swoje myśli i marzenia. Nie mogłam potem spać przez całą noc!

– A to cham! – syknęła Gabriela. – Patrzcie tylko, jak się na ciebie gapi, jakby od razu chciał zedrzyć suknię. Ale ma wielkie bary, a jakie gromy rzuca za każdym spojrzeniem. Niechby taki dzikus objął kobietę i przytulił, to pewnie połamałby jej wszystkie kości!

– Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby któryś z nich spróbował mnie pocałować. Ten blondyn na przykład – westchnęła Adrianna. – W życiu nie widziałam tak zwierzęcej postawy i ledwie tłumionej furii w ruchach. Pewnie byłby brutalny, choć ma takie miękkie, chłopięce spojrzenie. Musiałbym go pchnąć sztyletem albo siebie, nie zniosłabym hańby. Oby tylko królowej nie przyszło do głowy wydać mnie na niego! Muszę o tym z nią porozmawiać.

– Jej Wysokość i tak robi, co uważa za stosowne. – Marysieńka wzruszyła ramionami. – Jeśli ten brutal jest jakimś wpływowym szlachciurą i jego poślubienie będzie strategicznym posunięciem, to chcesz, czy nie, i tak wylądujesz w jego łóżu. I uwierz, królowa wybierze ci najlepszego męża, nikt nie zrobi tego lepiej.

– Szybciej rzucę się z okna, niż pozwolę dotknąć któremuś z tych śmierdzących barbarzyńców – oznajmiła Gabriela. – Chyba że byłby to ten szczupły, z ryngrafem na pancerzu. Może dałoby się jeszcze go wychować, przynajmniej jest pobożny, widziałam, że dyskretnie się przeżegnał.

– Żołnierz zawsze będzie jurny i gwałtowny. To prawdziwe ogiery, moje drogie, nie dadzą się łatwo okiełznać. – Marysieńka uśmiechnęła się lekko.

– A niech tam – westchnęła z rezygnacją Adrianna. – Lepiej już mieć w łóżu brutalnego ogiera niż potulnego wałacha. Zresztą ogiera też da się osiodłać!

Dziewczęta zachichotały, zapominając o nastroju skupienia i powagi. Nawet nie zauważyły, że recytacja już się skończyła, a pojedynek uznano za nierozstrzygnięty. Królowa ożywiła się, przywołała do siebie mistrza Burattiniego i trzech kawalerów. Dwórki przesunęły się, by lepiej słyszeć.

Żołnierze podeszli przed tron i klękali, schylając głowy. Włoski naukowiec wysunął jedną nogę w przód, a drugą ugiął w kolanie, jednocześnie zginając się w pas i zamiatając kapeluszem dziedziniec. Oficerowie spojrzeli na niego z ukosa; każdy czuł głęboką pogardę dla francuskich ukłonów, uwłaczających godności prawdziwego rycerza.

– Nasz małżonek przysłał młodzieńczy kwiat swego rycerstwa, by nas ratować.
– Ludwika uśmiechnęła się do oficerów. – Nawet nie wiecie, jak bardzo się cieszę na wasz widok, panowie. Wasze przybycie to ostateczny sygnał, że nadeszła pora powrotu. Wszyscy tęsknimy za kochaną Polską, nie możemy doczekać się wyzwolenia Warszawy, naszego ukochanego domu. Serce wypełniła nam rozpacz, gdy dotarli do nas wieści, jak bardzo Szwedzi ukrzywdzili miasto.

– Wasza Wysokość, Warszawa nadal znajduje się w rękach wroga, nie wiadomo jak długo... – zaczął Burattini.

– Wiemy przecież, Tytusie. – Ludwika wstała z tronu i podeszła do przybyszy.

Wszyscy trzej już unieśli się z kolan. Bliskość królowej onieśmiała młodzieńców; cofnęli się o krok, prócz Sobieskiego, który – bywały na europejskich dworach – uczestniczył w audiencjach u niejednego monarchy.

– Mamy nadzieję, że przywiozłeś serca smoków? – Królowa zwróciła się do Włocha.

– Po to wszak pojechałem. – Burattini skłonił się grzecznie. – Dzięki ofiarności tych oficerów udało się je szczęśliwie przywieźć. Napędów starczy dla wszystkich trzydziestu maszyn. Ponoć rzemieślnicy pracowali podczas mojej nieobecności i dokończyli dzieła. Jutro sprawdzę sprzęt i zamontuję źródła.

– Świetnie. – Ludwika uśmiechnęła się łaskawie. – Zatem może już jutro uda się wyruszyć w drogę do Polski. Sprawiłbyś nam tym wielką radość, mistrzu.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Naukowiec uklonił się, kładąc dłoń na sercu.

– Najjaśniejsza pani...

Fraucymer zaszemrał z oburzeniem, karcąc wzrokiem impertynenta. Sobieski nie przejął się jednak i ciągnął:

– Chyba nikt Waszej Miłości nie powiedział o zbliżającym się zagrożeniu...

– Chodzi ci o te kilka szwadronów rajtarii, osłaniających żelazne psy pułkownika Törnskjölda? – Ludwika po raz pierwszy spojrzała wprost na Jana. – Wiemy, że się zbliżają i właśnie dlatego chcemy jak najszybciej opuścić Głogówek. Oszczędzimy temu miastu nieszczęść. Nie możemy obciążać naszych gościnnych przyjaciół ponad miarę. Zdajemy sobie sprawę, że Szwedzi przybyli tu po naszą głowę i nie odedają, dopóki nie zrównają całej okolicy z ziemią. Wyruszymy w drogę, a wtedy, być może, podążą za nami i opuszczą miasto.

– Karol Gustaw śmiałyby podnieść rękę na majestat Waszej Wysokości?

– Mój chłopcze, sprawiamy mu więcej kłopotów niż nasz drogi małżonek Jan Kazimierz z całą swoją dzielną armią. – Królowa uśmiechnęła się. – Od roku prowadzimy stąd międzynarodową dyplomację, walcząc o dobre imię Polski, oczerniając i wystawiając Szwedów na pośmiewisko. Zależliśmy im za skórę, tak że gotowi są na wiele, by nas uciszyć. Nawet na królobójstwo.

– Dlaczego Wasza Wysokość nie chce bronić się w zamku? – Sobieski nerwowo zastrzygł wąsem. – Jeśli wyruszymy z całym dworem w podróż, dopadną nas na otwartym polu, gdzie nie będziemy mieli najmniejszych szans...

– To w zamku nie będziemy mieli szans – wtrącił się sekretarz królowej, monsieur Des Noyers. – Doskonale wiesz, żołnierzu, jaką artylerię kryją w trzewiach żelazne psy. Podjazdy donoszą, że jadą tu wszystkie baterie z pułku Törnskjölda. Nie trzeba mieć wojennego doświadczenia, by przewidzieć, jak ta siedziba, choćby warowna, zniesie ostrzał tyłu armat.

– Ale mury przynajmniej stanowią jakąś ochronę. – Sobieski spiorunował Francuza wzrokiem. – Natomiast kilkadziesiąt wozów ciągnących drogą nie ma żadnej, nie zdoła też poruszać się wystarczająco szybko, by uciec Szwedom. Wyruszenie

w tej chwili w drogę to szaleństwo! Trzeba wysłać gońców z prośbą o pomoc i czekać. Możemy zaminować okolicę, wykopać doły zaporowe, prowadzić wypady. Skoro klasztor na Jasnej Górze odparł Szwedów, my też...

– Klasztor ocalał, bo wróg sam zrezygnował – burknął Des Noyers. – Zresztą w tamtym oblężeniu nie brały udziału żelazne psy. Ale dlaczego, pułkowniku, tak się upierasz, by tu pozostać? Czemu ci na tym tak zależy? Jest w tym drugie dno? Może chodzi o jakieś układy z dawnymi przyjaciółmi? Ponoć dobrze znasz pułkownika Törnskjölda...

Francuz zmierzył szlachcica podejrzliwym spojrzeniem. Sobieski poczuł rosnącą błyskawicznie falę gniewu. Ten uperfumowany elegant w obszytym koronką kubraku i w peruce na łbie śmiał sugerować mu konszachty ze Szwedami...

Prawdę rzekłszy jednak, do niedawna Jan pozostawał pod zwierzchnictwem Karola Gustawa i dopiero raptem dwa miesiące temu wrócił na służbę do prawowitego króla. Niby wielu Polaków początkowo przeszło na stronę wroga, ale po jakimś czasie i tak uciekało do Jana Kazimierza. Sobieski wyjątkowo długo trwał u boku Karola Gustawa. Tyle że wtedy wydawało mu się to słuszne. Stał po stronie silnego władcy, który miał doprowadzić kraj do porządku, stworzyć z niego prawdziwe imperium. Co za różnica, który Szwed zasiada na polskim tronie? Waza czy Wittelsbach? Zbyt późno Jan zorientował się, że służy u najeźdźcy, który Polskę ma tylko za dojną krowę i zamiast reformować państwo, zwyczajnie je łupi.

– Pierre, nasz młody pułkownik chce dla nas jak najlepiej. – Królowa ucięła klótnię, zanim ta wybuchła na dobre. – Nie zna naszej tajemnicy, jego niepokój jest w pełni zrozumiały. – Uśmiechnęła się do Jana łagodnie. – Proszę się nie martwić, nad wszystkim panujemy.

Sobieski cofnął się z ukłonem. Królowa straciła zainteresowanie żołnierzami, skinęła na Burattiniego i w towarzystwie jego oraz najściślejszej świty oddaliła się w głąb zamku. Oficerowie stali chwilę w otoczeniu dwórek, z których większość

wkrótce też ruszyła do zabudowań. Jan otrząsnął się szybko i rozejrzał. Tłum rozprasał się żwawo, służba gasiła lampiony. Wreszcie wypatrzył ją. Stała nieopodal, ładnie się do niego uśmiechając. Zanim zdążył do niej podejść, dwie dwórki pociągnęły ją ze sobą i Maria d'Arquien znikła w wejściu do jednego z zamkowych skrzydeł.

Poranny wiatr przyniósł ze sobą swąd spalenizny. W oddali, w niebo na północy, pięły się liczne kolumny czarnego dymu. Plądrując i niszcząc wieś Rzepcze, Szwedzi dali znak, że droga na Opole jest zablokowana. Nim dobiegło południe, dymy pojawiły się i na wschodzie. Płonęły Stare Kotkowice, leżące przy drodze na Kędzierzyn. Gospodarz zamku, hrabia Oppersdorff, wysłał kilka podjazdów; dwa oddziały nie wróciły, pozostałe ledwie uszły przed kirasjerami. Szwedzi panoszyli się w okolicy, jakby byli u siebie. Grudziński i Potocki rwali się, by ruszyć do boju, ale Sobieski nie chciał o tym słyszeć. Ciekawiło go jaką niespodziankę szykowała królowa i co takiego montował Burattini w warsztatach za zamkiem. Niestety nikt nie próbował wtajemniczyć żołnierzy w plany. Zakwaterowano ich w budynkach gospodarczych dolnego zamku i właściwie odcięto od życia dworu. Nie zaproszono nawet na posiłek w towarzystwie fraucymeru i wydano taką samą żywność co innym żołnierzom.

Oficerowie obiadowali pod gołym niebem, za plecami mając kuźnię i stajnie.

– Kasza ze skwarkami i kubek kwaśnego piwa – oburzył się Potocki. – Co to ma być? Jakim prawem karmią nas, polską arystokrację, odpadkami? Te francuskie wiedźmy mają nas za świnie, czy co?

– Jest jeszcze cebula, chleb i twaróg – zauważył Jan, z chrzęstem żując kawał tej pierwszej i zagryzając kęsem tego drugiego.

– Jestem synem hetmana wielkiego! – zaperzył się Feliks. – Nie byle chłopem, bym żarł surowe warzywa. Gdzie mięso? Gdzie miód lub choćby węgrzyn? Pójdę tam zaraz...

Złapał za rękojeść szabli, podrywając się od stołu. Grudziński chwycił kompana za ramię i usadził w miejscu.

– Czekaj, panie kolego! Nie bądź taka gorąca głowa. Co zamierzasz? Walić pięściami w bramę i domagać się półgęska?

– Wyjdziemy na dzikusów. I tak niektórym Francuzom wydaje się, że jadamy gołymi rękoma i tylko surowe mięso. – Jan machnął niedbale ręką i pociągnął łyk piwa. – Wiem, bo zwiedziłem całą Francję i wszędzie patrzyli na mnie jak na barbarzyńcę, co ledwie wylazł z jaskini. Są przekonani, że nie używamy pościeli i łóżek, tylko śpimy na gołej ziemi, przykryci wilczymi skórami. Nie znamy łaciny i dziejów Rzeczypospolitej Rzymskiej, nie używamy chusteczek i pantalonów, ale za to każdy z nas potrafi w walce wręcz pokonać niedźwiedzia.

Na twarz Potockiego wypełzły rumieńce, kontrastujące mocno z płową czupryną i przydające mu aparycji typowego warchoła, nadużywającego gorzałki i skorego do bijatyk. Nie umknęło to uwadze pozostałych, którzy spojrzeli na siebie porozumiewawczo – ich przyjaciel będzie teraz tylko szukał pretekstu do bitki. Zanosilo się na awanturę...

Jak na zawołanie zza rogu pobliskiej kuźni wyłonił się łysy dworzanin w skromnym, czarnym stroju.

– Jeśli pozwolicie, szlachetni panowie, to zdradzę wam, kto jest odpowiedzialny za tak niegodne potraktowanie waszmościów – oświadczył bez żadnych wstępów.

– Kim waćpan jesteś? – spytał Grudziński, mrużąc oczy.

– Karol Ludwik Conrade, nadworny lekarz jej królewskiej mości – przedstawił się medyk. Mówił z mocnym obcym akcentem.

– Czego chcesz, żabojadzie? – mruknął groźnie Feliks.

– Pochodzę z Italii – obruszył się lekarz. Garbił się nad siedzącymi szlachcicami, przez co wyglądał niczym wielki kruk. – I przychodzę do was z własnej woli, by

uprzejmie i uniżenie donieść, że za wszystkim stoi monsieur Des Noyers. To wpływowo i groźny człowiek, który uznał was za wrogów korony...

– Mów dalej. – Grudziński wskazał mu miejsce przy stole, ale medyk tylko rozejrzał się niepewnie, by sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje.

– Król wybrał was na eskortę Burattiniego – podjął śpiesznie – by Ludwika mogła obejrzeć i zdecydować, czy da się z waszmościów uczynić stronników francuskiej frakcji. Przyszłość kraju należy do takich jak wy, młodych potomków wielkich magnackich rodów. Zostaniecie hetmanami i wojewodami, to wy będziecie decydować na przyszłych sejmach, rozdawać karty w wielkiej polityce...

– Dobra, dobra. – Potocki patrzył na niego spode łba. – Przejdź waćpan do rzeczy.

– Des Noyers ma jakiś interes, jeszcze nie wiem jaki, ale znając tego lisa – ściszył głos – podejrzewam, że chodzi o pieniądze lub o opanowanie kolejnej sfery wpływów, by zdyskredytować was w oczach Jej Wysokości. Przedstawił królowej drobiazgowo opisy panów, diabli wiedzą przez kogo przygotowane, pewnie przez niego samego, a przedstawiające szanownych oficerów w bardzo złym świetle. I tak – Conrade wyciągnął zza pazuchy zrulowany dokument, rozwinął go i podsunął Potockiemu pod nos – o panu, panie Potocki, stoi tu kilka pikantnych szczegółów. Opisane są twoje wybryki, poruczniku, na sejmikach, udział w licznych pijackich burdach, spalenie karczmy, pocięcie szablą jakiegoś Żyda i posądzenie o ojcostwo dziecka pewnej młynarzówny. Pan Grudziński przedstawiony jest natomiast jako utracjusz, lubiący gry w kości i karty, a do tego tchórz, który wycofał się rakiem po wyzwaniu na pojedynek przez Kijeńskiego ze Lwowa. Pułkownik Sobieski to z kolei zdrajca i sprzedawczyk, łopoczący jak chorągiewka w zależności od tego, w którą stronę wiatr zawieje. Przesławia się go jako skąpego i pazernego na pieniądze dorobkiewicza, gotowego porzucić suwerena za garść złota.

– Starczy – warknął Jan i wyrwał z ręki dworzanina pismo. – Czego chcesz?

– Ktoś musi wreszcie pokazać Des Noyersowi, jak okrutnie błądzi. – Medyk zatarł ręce. – Panowie, to szkodniczy intrygant i wesz na królewskim dworze. Trzeba go zgnieść jak najszybciej. Sączy jad do ucha królowej, próbuje nastawić ją przeciw polskiej szlachcie i nieustannie umacnia swoje wpływy. Niedługo dojdzie do tego, że to on faktycznie będzie rządził Rzeczpospolitą. Zróbcie to dla ojczyzny, zabijcie drania! Pewnie jeszcze dziś nadarzy się okazja, w zamieszaniu przy załadunku smoków. Dam znać, gdy znajdzie się sam, bez swoich pomagierów. Wystarczy jeden cios czekanikiem w łeb...

Jan poderwał się od stołu i złapał medyka za kubrak pod szyją. Potrzęsął przerażonym nieszczęśnikiem i wycedził przez zęby:

– Jak śmiesz proponować rycerzowi skrytobójstwo? Myślisz, że damy się wciągnąć w gierki dworskich szcurów? – Pchnął Conrade, aż ten usiadł ciężko na ziemi. – Zatrzymuję dokument, sprawę natomiast załatwimy po naszymu. A teraz idź do diabła, zanim moi kompani otrząsną się i posiekają cię na plasterki.

Medyk rzucił się na czworakach do ucieczki, potem poderwał na równe nogi i kilkoma susami oddalił za róg stajni. W ostatniej chwili, bo Potocki w międzyczasie dobył szabli i przymierzał się do wypełnienia groźby Sobieskiego. Grudziński spokojnie pociągnął łyk piwa i skrzywił się z niesmakiem.

– Co to za błazen? Czemu chciał nas poszczuć na tego Francuzinę? – spytał bez wyczuwalnych emocji w głosie.

– Rozgrywki na szczycie. – Sobieski nieznoszącym sprzeciwu gestem wskazał Potockiemu miejsce z powrotem przy stole. – Dziś rano udało mi się spotkać pannę d'Arquien i odbyć z nią inspirującą rozmowę. Dowiedziałem się między innymi, że fraucymer podzielony jest na dwie zwalczające się frakcje. Jednej przewodzi sekretarz królowej, a drugiej jej lekarz. Właśnie próbowano wciągnąć nas do ich porachunków. Zlekceważyłbym to, gdyby nie ten paszkwil. Czy faktycznie monsieur Des

Noyers go przygotował, a jeśli tak, to po co? Czemu zależy mi, by odsunąć nas od królowej?

– Trzeba znaleźć tego upudrowanego dworaka i poważnie z nim porozmawiać – stwierdził Grudziński.

Wtem gdzieś w oddali rozległ się głuchy grzmot, a po nim kolejny. Powietrze przeszył rosnący gwizd. Żołnierze skulili się odruchowo. Gdzieś przed murem dolnego zamku gruchnęły w ziemię artyleryjskie pociski. Potocki wsunął szablę do pochwy i chwycił miskę z pogardzaną kaszą. Zabawy w grymaszenie ostatecznie się skończyły, możliwe, że miał ostatnią okazję przed bitwą, by napchać brzuch.

– Musimy się pośpieszyć – mruknął, ładując do ust łychę.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Fantastyka w nowej formie

Oficyna wydawnicza

RW2010

Dobre ebooki
w dobrej cenie

www.rw2010.pl